

MAŁE WIECZNOŚCI

RYSZARD BOTWINA

MAŁE WIECZNOŚCI

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © Ryszard Botwina 2011
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Tomasz Zysk

Redaktor
Hanna Kossak-Nowocien

Skład
Rafał Kłos

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna M. Damasiewicz

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-900-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

POWSTANIE CZŁOWIEKA...

I

Ania szła boso po świeżo skoszonym polu pszenicy. Wokół jak okiem sięgnąć widać było równo, blisko przy ziemi, przystrzyżone łądyżki. Dziewczyna miała nienaturalnie napięte, wygięte do góry palce stóp, tak było skórze łatwiej było znosić ukłucia pszenicznego zarostu. Dziwnym trafem tuż koło zagajnika przylegającego do drugiego skraju pola, ku któremu z trudem zmierzała, sterczała cudownie ocalała kępka modraczków. Podskakując i starając się bezskutecznie ominąć pojedyncze łądyżki, Ania dotarła do kępki. Bezskutecznie, bo z równym powodzeniem można by próbować przejść suchą stopą morze, rozgarniając pojedyncze fale. Już chciała zerwać modraczki, by wejść między krzewy z bukietem, gdy nagle się zawstydyła. Byłoby to jakoś wbrew naturze, wbrew losowi, który swoim niezrozumiałym dla ludzi wyrokiem ocalił kwiaty przed ślepym ostrzem kosiarki... Jakie mogło być bowiem inne wytłumaczenie dla tego modraczkowego cudu? W morzu równo zżętego zboża pyszniły się niczym niebo na ziemi, nie wiadomo daczego...

Jednak były faktem! Ania czuła, jak pochylane wiatrem dotykały jej nóg, jak bezwstydnie zaglądały pod króciutką, kolorową sukienkę. Stała więc tak chwilkę, poddając się pieszczocie kwiatów, a może wiatru, którego były narzędziem. Było w tym coś tak bardzo podniecającego i delikatnego, że ręce żadnego mężczyzny nie byłyby w stanie wydać takiej pieszczoty. Nic dziwnego, że Ania

poczuła, jak cała wilgotnieje, jak przebiegają ją dreszcze podniecenia wyzwalające niedostrzegalne strumyczki rozpełzające się z wnętrza jej łona, gorącego niczym rozpalona ziemia, po której teraz stąpała. Ten stan obcowania z czymś tak niezwykłym i nieuchwytnym zarazem, trwał może sekundę, może więcej... Straciła rachubę, czas się zatrzymał, a może wcale go już nie było... Tak jak w każdym zatraceniu, tak jak w każdym przejściu do innego świata... Jeśli istniał jakiś tunel prowadzący ku innym cudownym krainom, gdzie zło zostało wypędzone na zawsze, a może go nawet nigdy nie było, gdzie miłość wypełniała przestrzeń aż po horyzont, to była to właśnie ta kępa modraczków. Ta pieszczota, tu i teraz...

Dlatego Ania nie zerwała kwiatków, nie zrobiła bukietu. Czuła bowiem, że nie można odbierać życia, cokolwiek by to znaczyło, istotom tak niezwykle obdarowanym przez los. Zresztą miała także mglistą świadomość tego, że każde wyciągnięcie ręki, każda próba naruszenia równowagi między tymi dwoma światami byłaby i tak daremna. Coś w zapachu świeżo skoszonej pszenicy, w niebieskim niebie ponad nią i tą wysepką z kwiatów, w promieniach słońca, które równie bezwstydnie jak kwiaty lizały łagodnie dekolt jej sukienki, sprawiało, że to wiedziała... Wiedziała także coś więcej, że ta atmosfera tajemnicy, cudowności przyrody, która ją dotknęła, musi już na trwałe odmienić jej życie... Tak jak było dotychczas, dłużej być nie może, choćby broniła się przeciwko temu z całych sił, przerażona nowym, niewiadomym. Teraz już bowiem przynależała do innego świata... Wreszcie oderwała skamieniałe nogi od ziemi, podniosła mały, ułamany modraczek, który leżał obok kępki, jakby na chwilę oddalił się od reszty, i włożyła go we włosy. I wydawało się, że nic się nie zmieniło, że kwiat nadal tkwi pośród pola. A wszystko za sprawą jej pszenicznych włosów. Ania zrobiła trzy ostatnie kroki łączące ją z tym miejscem i zanurzyła stopy w lekko jeszcze wilgotnej od rosy trawie. Była już w zagajniku i opadła całym ciałem na posyście. Szukała chłodu.

Naprawdę zaś czekała, czekała, że tamto znowu powróci... Poczula nagle na twarzy dotyk czegoś zimnego, wilgotnego. Zerwała się ze strachem i spostrzegła małego, czarnego jak węgiel kotka dającego susa w rosnące obok rzadkie krzaki. Powoli dochodziła do siebie. A więc tamto tylko jej się śniło, to był sen! Tylko sen... Poczula przenikliwie zimno. Miała zmoczoną sukienkę. Wiosna była tego roku okropnie zimna. I tak miała szczęście, że rano nie spadł deszcz. W końcu ostatnie dwa dni padało. Musiała być mocno nawalona, że tak usnęła tutaj, pod nasypem kolejowym. Widocznie odleciała całkowicie. Ostatnio nie umiała już inaczej, nie potrafiła dalej świadomie oddawać się swoim zawodowym czynnościom spółkowania. Nazwała to tak, bo jak miała powiedzieć: prostytutka, kurwa? Choć najbardziej trafnie mówili o takich jak ona ludzie z fabryki po drugiej stronie torów. Po prostu — tirówka. Cóż, zawód jak każdy inny. Polegał głównie na czekaniu. Stała więc przy drodze i czekała na tiry. Odbywała kursy tam i z powrotem. Tam, czyli drogą na Zgorzelec w punkcie startu, i z powrotem, czyli na ogół z Jeleniej Góry na metę w Wałbrzychu. Spod tego wiaduktu właśnie. Choć nierzadko robiła kilka podejść, aby wrócić, bo mężczyznom spieszyło się bardzo i ledwo wyjechali za wiadukt, zatrzymywali samochód i brali ją, tak jak chcieli i jak długo mieli ochotę. Po czym wyrzucali z wozu. Jak miała szczęście, to nie została pobita i dostawała jakieś pieniądze. Nieraz to było pięćdziesiąt, częściej dwadzieścia, a rzadziej sto złotych.

Teraz wracała do domu, ale doprawdy nie wiedziała, jak się tutaj znalazła. Pamiętała tylko, że mężczyzn było dwóch. Kierowca i pasażer. Nie czuła bólu, więc widocznie wszystko zakończyło się dobrze. Ale czy rzeczywiście dobrze, to zaraz się przekona, gdy sprawdzi kieszenie. Poszuka pieniędzy. Szczerze mówiąc, nie zanościło się na wielkie poszukiwania, bo miała na sobie brązową, skórzaną minispódniczkę, brązową trykotową bluzeczkę, króciuteńką skórzaną kurteczkę, również brązową, i takiego samego koloru te-

nisówki na wysokiej podeszwie. Kieszenie były tylko w kurteczce. Dlatego naturalna minka skwaszonego dziecka, za które mimo swoich dwudziestu sześciu lat mogła być bez trudu wzięta, wydużyła się, kiedy kieszenie okazały się puste. No może nie całkiem, bo w prawej znalazła białą, wydrukowaną czerwonymi literami wizytówkę. Ania przeczytała ją na głos:

— Józef Komin. Firma malarska „As”, Lubin. Szwoleżerów 15 i telefon.

Z pewnością to musiał być ten drugi, lekko łysiejący mężczyzna. Był wstydlivy, kazał kierowcy wracać do wozu i dopiero wtedy wyjął członka i włożył jej do buzi. Chyba dlatego to zapamiętała, bo o mało się nie udusiła, z zalonym spermą gardłem... Pomyślała o tym i fala mdłości podeszła jej aż do przełyku. Pierś jej zafalowała i wtedy dopiero poczuła w staniku szorstkość papieru. Szybko włożyła tam rękę i wydobyła zwinięte w rulonik sto złotych! Facet był hojny! Nie wiedziała, dlaczego, ale miała pewność, że to od łysonia. Stwierdziła, że nie jest źle, że wypad się opłacił. Poweselała i dochodząc już całkowicie do siebie, zaczęła szukać torebki. Znalazła ją wkrótce tuż koło krzaków. Brząz wyraźnie odcinał się od soczystej zieleni trawy. Nawet nie sprawdzała zawartości. W końcu grzebień, lusterko, trochę podobnych jak Komina wizytówek, płyn Burowa i kilka prezerwatyw, nie stanowiło łupu dla żadnego złodzieja. Założyła torebkę na ramię i wtedy poczuła na sobie czyjeś oczy. Przestraszyła się, ale gdy zobaczyła siedzącego między krzakami kota, uspokoiła się natychmiast. Kot, a właściwie kotek patrzył na nią zmrużonymi żółtymi ślepkami, jakby chciał powiedzieć:

— Aniu Tarkowska, nieładnie się bawisz, nieładnie...

Ania roześmiała się i powiedziała:

— Co ty możesz o tym wiedzieć?

Kot zamknął jedno oko i miauknął cichutko:

— Dobra, dobra, tylko tyle, że ludzie śpią w domu, a nie w krzakach...

Spojrzała na niego i tupiąc groźnie nogą, by go przestraszyć i spędzić ze ścieżki, odpowiedziała ni to swoim myślom, ni to kotu:

— Mądrała się znalazł, a sam nie ma domu ani opiekuna...

Kot przestraszony odbiegł na bezpieczną odległość i nadal się jej przyglądał. Ania zaczęła schodzić ścieżką spod nasypu kolejowego do szosy wychodzącej na Wałbrzych. Dochodząc do asfaltu, obejrzała się i zobaczyła kotka kilka metrów za sobą. Siedział i patrzył znieruchomiąły niczym Sfinks. Ania pomachała mu ręką na pożegnanie i zawołała:

— Zostańmy przyjaciółmi, istoty nieszczęśliwe!

Nie zdążyła jednak nic więcej powiedzieć, bo nagle tuż przed nią zatrzymał się z piskiem opon ogromny tir, który pojawił się niczym widmo. Pojawił się i uniósł Anię na spotkanie jej codziennego losu. Nie był to bowiem wehikuł czasu, tylko zwykła ciężarówka na niemieckiej rejestracji. Mimo to para kocich, żółtych oczu odprowadzała pojazd, aż zniknął za zakrętem...

II

Henryk Woźny poruszył się gwałtownie przez sen i książka wypadła mu z rąk. Uderzając o drewnianą poręcz starego, połatanego na siedzeniu i oparciu fotela, spadła na podłogę. Huk nie był zbyt duży, przypominał raczej odgłos klapsa wymierzonego gołą ręką w pośladek. Poplamione i miejscami pozdzierane linoleum stłumiło upadek. Jednak hałas wystarczył, by Henryk otworzył oczy. Wybity ze snu spojrział jeszcze nieprzytomnym wzrokiem wokół siebie. Z wolna wracał do świata jawy, świata, w którym po prawej stronie niewielkiego pomieszczenia, w jakim się znajdował, stał równie stary i połatany jak fotel tapczan, po lewej tkwił fotel, na którym siedział, pośrodku zaś ogromne biurko. Nad biurkiem było wielkie okno, z małym okienkiem pośrodku. To okienko Henryk otwierał, gdy przychodził jakiś interesant. A ostatnio było z tym kiepsko, bo firma podupadała i nie bardzo było kogo informować gdzie, do kogo i jak iść. Bardzo lubił ten stan, w którym jeszcze nie przeszedł do rzeczywistości ze świata snu. Miał taką naiwną, dziecięcą nadzieję, że kiedyś otworzy oczy i nie zobaczy fotela, tapczanu i okna portierni „Zrembu”, ale inny świat, inne meble, inne miejsce. Innych ludzi niż ci, którzy dotychczas wypełniali jego życie. Jaki to miałby być świat, Henryk nie wiedział, a może po prostu nie próbował sobie wyobrazić. W każdym razie miał być inny... Zresztą trudno sobie wymyślić bardziej szare i pospolitsze życie niż to, które było udziałem Henryka już od pięćdziesięciu dwu lat. Może dlatego Henryk nie miał potrzeby, lub zwyczajnie nie umiał

wypełnić konkretami tego, co zawsze określał mianem „inny”. Wystarczyło mu, że wiedział, iż każdy inny będzie lepszy... No bo i cóż Henryka spotkało dobrego dotychczas?! Może by skłamał, gdyby powiedział, że nic, ale w każdym razie tego dobrego było tak mało, że doprawdy nie warto było o tym mówić, a już na pewno martwić się, że to inne mogłoby być gorsze. Henryk spojrział na stary wysłużony adriatic na przegubie. Szczęśliwie obudził się w samą porę. Za siedem minut miał obchód, co musi być odnotowane w księdze raportów, którą trzymał w górnej szufladzie biurka. Odsunął więc z kolan szary koc, którym miał okryte nogi, przewiesił go przez poręcz i wstał.

Podniósł z podłogi książkę, która nagle zaślniła światłem odbitym od wiszącej pod sufitem żarówki. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo książka miała wmontowany w okładkę kawałek prawdziwego lustra. Można się było w nim przeglądnąć, co Henryk już nieraz wykorzystywał przy goleniu. U góry okładki widniały czerwone litery, które układały się w napis: *Po drugiej stronie lustra*. Autor George Smeaton. Jakiś Amerykanin, w każdym razie tak było napisane w notce z tyłu książki. Henryk lubił czytać, bo po pierwsze, szybciej płynął czas na tej jego wysepce w portierni, a po drugie, przechodził wtedy prosto jak przez dziurę w płocie do tych innych, nieznanych i nieosiągalnych światów. Żył wtedy prawdziwym życiem, w odróżnieniu od tej namiastki, tego erzacu, na który został z wyroku losu skazany na dożywocie. Szczególne pole do popisu dawały książki sensacyjne i kryminały. Ich bohaterowie — twardzi, inteligentni i zawsze wygrywający z losem mężczyźni — byli mu najbliżsi. Imponowali mu. Do tego stopnia, że nieraz czytał głośno niektóre kwestie przez nich wypowiedane. Może dlatego, że był akurat ich przeciwieństwem... Zgodliwy, ceniący święty spokój i całkowicie pozbawiony instynktu dominacji — z pewnością nie zaprzeczyłby żadnemu z tych określeń w odniesieniu do swojej osoby.

Rozprostował zagiętą na skutek upadku kartkę w książce. In-

stynktownie spojrzął na stronicę i zamarł. Czarne litery zdawały się krzyczyć do niego:

— Właściwie tym, który pierwszy naruszył dotychczasowy obo-
wiązek przedstawiania rzeczywistości w jej klasycznym rozumieniu,
że dany obiekt ma tylko jedną określoną historię był... No? Nie, nie,
źle się domyślacie, wcale nie Bohr, a już na pewno nie Einstein, lecz
Shakespeare.

Harry zerknął na audytorium, studenci dyskutowali ożywieni.
Brian Cottingham, jego pupil, zdobył się na odwagę i spytał głośno:

— Jak to, przecież jego słynna kwestia brzmi: „Być albo nie być; oto
jest pytanie”!

— Słusznie — odpowiedział Harry — lecz kto pamięta, jak to
idzie dalej?

Zapadła cisza. Wiedział, że nie ma sensu czekać na odpowiedź
i sam zadeklamował:

*Być albo nie być; oto jest pytanie:
Czy szlachetniejszym jest znosić świadomie
Losu wściekłego pociski i strzały,
Czy za broń porwać przeciw morzu zgryzot,
Aby odparte znikły? — Umrzeć — usnąć,
Nic więcej; snem tylko wyrazić, że minął
Ból serca, a z nim niezliczone wstrząsy,
Które są ciała dziedzictwem: kres taki
Błogosławieństwem byłby. Umrzeć,
— usnąć — Usnąć! Śnić może?
Tak, oto przeszkoda;
Bowiem sny owe, które mogą nadejść
Pośród snu śmierci, gdy już odrzucimy
Wrzawę śmiertelnych, budzą w nas wahanie,
Zmieniając życie nazbyt długie w klęskę*.*

*William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Maciej Słomczyński.

Tutaj Harry przerwał monolog Hamleta, mimo że do końca zostało jeszcze kilka wersów. Przeszedł wzdłuż katedry i zaczął omawiać to, co przed chwilą przedstawił:

— Jak widzicie, samo pytanie, być albo nie być, odwołuje się jeszcze do klasycznego ujęcia rzeczywistości. Jednak już rozwinięcie owego nie być — umrzeć — ma według Shakespearęa co najmniej dwie historie, realizowane przez nieistnienie i sen. Słyszeliście, jak Hamlet mówi: „Umrzeć — usnąć”, a potem dodaje: „Umrzeć — usnąć — usnąć! Śnić może?” Czyli mielibyśmy jeszcze jeden stan pośredni — sen. Zresztą u Shakespearęa granica między jawą i snem jest nieustannie płynna. Pisze o tym wprost w innym miejscu: „zostaliśmy zrobieni z tego samego drzewa, co nasze sny”. Inaczej mówiąc, jawa czyli nie-sen, byłaby tylko szczególnym przypadkiem snu.

Henryk czytał w zupełnym oszołomieniu, wszystko było tutaj tak jak sam czuł, intuicyjnie szukając wyjścia z pułapki własnej rzeczywistości. I wszystko było tak proste, zrozumiałe i znane, mimo że nigdy nie czytał Shakespearęa... Jak to się działo, skąd takie olśnienie? Przeczytał pulsujący druk na końcu drugiej strony i zrozumiał wszystko:

— Najlepiej ujął to rzymski filozof Boecjusz, przedstawiając modele widzów wyścigów konnych. Jeden widz znajdujący się na hipodromie ogląda wyścig w ten sposób, że obserwuje najpierw przygotowujące się konie, potem start, przeszkody, sytuację na trasie i na końcu przybycie koni na metę. Oczywiście wszystko po kolei. Jednak jest też drugi widz, który równocześnie ogląda naszego pierwszego widza, jak i cały wyścig. Niektórzy sądzą, że Boecjusz miał tutaj na myśli Boga, ale my nie musimy być tacy drobiazgowi...

— O co chodzi z tym drugim widzem? — zadał pytanie jeden ze studentów.

— Akt poznania u tego widza przebiega specyficznie. Widzi on

bowiem wszystko w mgnieniu oka tak, że start i meta są w oku tego widza jak gdyby jednoczesne. Wszystko ogarnia on od razu, poznanie to jeden błysk bez początku i końca. Nie ma więc tutaj podziału na szczegóły i całość, jest równocześnie wszystko, co się składa na całą sytuację. Można sobie wyobrazić, że Bóg tak patrzy na historie składające się na wieczność naszego świata, ogarniając w jednym momencie ich początek i koniec, i nie wpływając zarazem na ich przebieg.

— Pan profesor sądzi, że taka właśnie jest struktura snu? — spytała zarumieniona Sally.

— Tak, bo po pierwsze — tylko we śnie dostępujemy za każdym razem łaski oglądania zarówno przeszłości, jak i przyszłości w jednej teraźniejszości snu. I po drugie — sen jest tym naturalnym stanem człowieka, w jakim widzi on wszystko miarą boską, czyli w mgnieniu oka poznaje cały możliwy przebieg śnionej sytuacji od razu w jednym obrazie całości. Spostrzegamy w nim i siebie, i innych właśnie z punktu widzenia tego drugiego widza.

— Wynika z tego — podchwycił Brian — że sen daje możliwości specyficzne dla poznania absolutnego; czy to nie kłóci się z tym, że jego istotą jest kreacja?

— Sądzę, że nie. Trzeba tylko pamiętać, że poznanie absolutne to takie, które obejmuje kompletny zestaw historii o jednoczesnym początku i końcu rozgrywających się w określonym śnie. To po pierwsze. A po drugie — kreacja jest ograniczona do jednostki snu, czyli każdy sen jest jak gdyby taką oddzielną wiecznością. Mogę więc zakończyć czymś w rodzaju aforyzmu: sny to nasze małe wieczności...

Henryk skończył czytać, zamknął powieść i powtórzył: „Sny to nasze małe wieczności”. Jakie to ładne — pomyślał — i jaką niesie nadzieję! Teraz już miał pewność, że klucz do odpowiedzi, skąd znał czytany tekst i dlaczego tak łatwo go przyswajał, tkwił właśnie w jego śnie. Stamtąd musiał go znać. Szkoda tylko, że nic z niego nie pamiętał. To przecież mogło być coś, ważnego, coś co mogło zmienić jego życie! Ale już przepadło, wszystko rozwiało się razem